ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 26-go Sierpnia 1897. Nr. 34.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Bitwa.

O dobre pół godziny od bramy flaminijskiej (Porta del popolo) schodzą się przy moście milwijskim (Ponte, Molle) od północy dwa wielkie gościńce wojskowe, t. z. droga kasyjska i flaminijska. Ta ostatnia ciągnie się od willi »pod kurami» na skraju stromych pochyłości, które czasami dochodzą aż do krętego łożyska Tybru, to znów od niego się oddalają, oddzielając w ten sposób od siebie już to większe, już mniejsze równiny wzdłuż rzeki rozłożone. Niedaleko mostu milwijskiego rozlega się równina wskutek silniejszego skrętu rzeki w wielką płaszczyznę noszącą według ruin starego nagrobka nazwę łąk czyli »Prati di Tor di Quinto.«

To jest pobojowisko z 28-go Października roku 312.

Rufus, naczelny dowódzca wojsk maksencyuszowych, uszykował swoje wojsko w wielki trójkąt; Tybr, do którego w tem miejscu wpada rwąca odnoga Anio, miał po prawej stronie i z tyłu wraz z obydwoma mostami. Od lewej strony sterczały wzgórza obsadzone celnymi łucznikami i procarzami; przed sobą zaś na północ miał drogę flaminijską. Skutkiem wielkiego napływu wojsk tyrana rozlegały się szeregi jak daleko okiem sięgnąć, a były tak gęste, że tworzyły niejako olbrzymi mur. Uszykowanie było wielce dobrane w stosunku do niedogodnego położenia Konstantyna mającego na ciasnej przestrzeni z prawej strony wzgórza, a z lewej Tybr tak, że nie mógł swych oddziałów wojennych należycie rozłożyć, a nadto narażony był na ustawiczne niebezpieczeństwo zgubnego napadu ze strony wyborowych strzelców rozłożonych wszędzie na skałach. Biorąc na uwagę także liczebną przewagę przeciwnika, który rozkazywał cztery razy większej liczbie wojowników, jak podają starsze kroniki, to Konstantyn liczył 90,000 piechoty a 8,000 jazdy, gdy tymczasem wojsko Maksencyusza składało się z 170,000 pieszych a 18 tysięcy jezdnych. Konstantyn odważył się więc z swem wojskiem strudzonem silnymi pochodami na bitwę, która była, sądząc po ludzku, więcej niż śmiałą, a która mogła go od razu wszystkiego pozbawić, gdyby ją był przegrał.

Konstantyn atoli, ufając w znak niebieski, który go tak cudownie przez cały szereg świetnych zwycięstw doprowadził aż pod bramy Rzymu, nie chciał tracić ani jednego dnia, więc już o świcie wschodzącego dnia, ustawił wojsko swoje w szyku bojowym i zmusił w ten sposób wroga do pochwycenia za broń. On sam w lśniącej i promieniejącej złotem zbroi siedząc na pysznym, białym

jak śnieg ogierze objeżdżał tam i nazad linię bojową, zagrzewał krótkiemi ale ognistemi słowy swoich mężnych wojowników do wytrwałości; a oni wpadli w zapał prawie natchniony.

Z swoją chorągwią »Labarum« na czele, okazywali liczni wojownicy chrześciańscy w szeregach Konstantyna dotychczas męstwo godne nazwy lwiej odwagi tem bardziej, że wszędzie, gdzie znamię Chrystusa nad nimi jaśniało śmiertelne pociski nieprzyjaciół zdawały się tracić swoję siłę. Tymczasem coraz bardziej się utrwalający i przychodzący do znaczenia chrześciański charakter owego sztandaru stał się powodem, że mocno przy pogaństwie obstający dowódcy i żołnierze poczęli teraz częściej krzywo i złowrogo spoglądać na owo znamię. Nawet sam Konstantyn wahał się jeszcze ciągle, a chociaż w głębi duszy wyznawał Chrystusa, przypisując mu dotychczasowe swoje powodzenie, jednak jeszcze tak dalece nie mógł się przezwyciężyć, aby z gorącością żywej wiary wznieść się modlitwą do Boga chrześcian. Zwłaszcza zaś w obliczu Rzymu, tej opoki czci bogów odżyły w duszy jego znowu różne powątpiewania i po części przez wzgląd na swoich pogańskich żołnierzy, po części zaś z braku stanowczości w tym punkcie postanowił, że szósty legion, który właśnie miał »Labarum« za chorągiew ma dopiero wtedy wyruszyć w war bitwy, gdyby tego wymagała konieczna potrzeba. Gdyby zatem ich męstwo przechyliło szalę zwycięstwa na jego stronę, to wtedy ostatnie wątpliwości co do religii chrześciańskiej miały ustąpić z duszy jego. Dla tego wyznaczył on owemu szóstemu legionowi takie miejsce wśród wojowników, że w każdym razie dopiero w drugiem spotkaniu miała przyjść na niego kolej. Na czele tego legionu trzymał i dzisiaj setnik Kandydus święte znamię lśniące w blasku wschodzącego słońca imieniem Chrystusa, a współwyznawcy patrzeli z dumą na wspaniałą postać szlachetnego młodziana, którego widok chrześcianom przywodził na pamięć Michała archanioła, jak na duchy przepaści piekielnej zawołał gromko: »Któż jak Bóg?« Gordyanus złożył bogom mnóstwo ofiar z zabitych zwierząt i oświadczył, iż czuje się niewymownie szczęśliwym, że może zwiastować boskiemu cesarzowi, jak oglądanie i badanie ofiar wykazało najpomyślniejsze znaki dla niego.

Gdy tymczasem wszystko było w pogotowiu do boju, Konstantyn dał znak do zaczepki, zabrzmiały sygnały i hasła, i wśród wesołego a przejmującego odgłosu trąb i okrzyku bojowego, który przewalał się od szeregów, tak właśnie, jak grzmot przewala się po niebie, ruszyły legiony do walki.

Sam Konstantyn ustawił się na czele jazdy galijskiej, a chociaż naokół niego świszczał grad strzał i pocisków, to jednak z taką siłą i gwałtownością uderzył na jazdę nieprzyjacielską, że ta nie wytrzymała dzielnego natarcia i rozpierzchła się w dzikiej ucieczce. Atoli ciężko zbrojna piechota legionów Maksencyuszowych stała nieporuszona jako mur ze spiżu, mąż obok męża, tarcz obok tarczy, a pierwszy napad odbił się o cały las wystawionych naprzód dzid. Konstantyn dał wprawdzie rozkaz, aby także kolumny piechoty ruszyły do walki; atoli teraz wystąpili z drugiej strony do walki owi starzy, bliznami od ran dawnych pokryci pretoryanie, a od ich męstwa odbiła się przemoc pierwszego napadu wojska Konstantynowego.

Aż tu nagle nieprzyjaciel od obrony przeszedł do zaczepki. Sam Rufus prowadził swoich weteranów, z którymi odniósł już niejedno zwycięstwo, naprzeciw wroga; od drugiego skrzydła ruszyli Herkulianie, sześć tysięcy olbrzymich postaci, mający głowę lwa jako ozdobę na chełmie, a zamiast mieczów trzymający w ręku ogromne maczugi ze stali, z powiewającemi na ramionach lwiemi skórami. Pod ciężkimi krokami tych ciężko zbrojnych kolumn aż ziemia drżała, a zetknięcie się nieprzyjaciół było straszliwe.

— Na Wodana — ryknął król Erok pełen gniewu i zapamiętałości na swoich Germanów — czyżem to stare

baby od kądzieli poprowadził na Rzym? Niechaj bog Tur gruchnie każdego młotem w kark, któryby mi się choć na krok cofnął!

Było to na rękę legionom Rufusa, że miały słońce za plecami, gdy tymczasem przeciwników raziło ono w oczy; nadto wiatr wschodni podnosił gęste chmury kurzu i rzucał je prawie naprzeciw hufcom Konstantyna.

Rufus posłał pierwszego gońca pospiesznego, aby uwiadomił Maksencyusza o pomyślnem rozwinięciu się bitwy.

Wiadomość nadeszła właśnie w tej chwili, gdy spadła zasłona z statuy Romulusa; czyż mógł być dla tyrana szczęśliwszy zbieg okoliczności? Mimo to zapanował nad sobą, i nie ogłosił natychmiast przez herolda pomyślnej wieści; chociaż był pewnym zwycięstwa, postanowił czekać do chwili, w której będzie mógł ludowi rzymskiemu donieść o zupełnej zagładzie przeciwnika; spodziewał się bowiem, iż to sprawi daleko większe wrażenie.

Tymczasem bitwa chwiała się niepewnie to na jednę, to na drugą stronę. Żołnierze Konstantyna pomni na zwycięstwa dotychczas odnoszone, mając przed oczyma Rzym, cel swoich pragnień i najgorętszych życzeń walczyli jako lwy; atoli stare hufce Maksencyusza walczyły z zimną krwią i odwagą nieustraszoną, a miały za sobą dogodniejsze położenie, jako też i liczebną przewagę.

Aby wzgórza oczyścić z nieprzyjacielskich łuczników i procarzy, wysłał Konstantyn trybuna Atemiusza z kilku kohortami z rozkazem, aby napadł na nich z tyłu; jednakże ten napotkał na nieprzezwyciężony opór, a oprócz tego mordercze strzały działały niszcząco na prawe skrzydło.

Erok, sędziwy król Alemanów, zebrał swoich German do nowego napadu na lewe skrzydło i aby ich jeszcze więcej zagrzać do odwagi, powierzył sztandar swemu jedynemu synowi, który był ulubieńcem i bożyszczem żołnierzy germańskich. Z nieulęknionem męstwem rzucili się dzielni olbrzymi do walki; pierwszą ofiarą napadu był wspaniały młodzieniec, który przeszyty śmiertelną strzałą padł na ziemię. Erok widział to; łzę cisnącą się gwałtem do oka powstrzymał. Niestety jego wojownicy nie zdołali oprzeć się chwilowemu zwątpieniu i zachwianiu. Tę chwilę zachwiania się wyzyskali stojący naprzeciw Herkulianie i rzucili się z nieprzepartą siłą naprzód. Pod strasznymi ciosami ich stalowych maczug pękały i rozlatywały się w kawałki hełmy i pancerze, jak gdyby były z gliny robione; na samym przedzie nakształt lwa, srożył się Marcylis, z którego wielu ran spływała krew, podrażniony do wściekłości przez otrzymane rany. Kładł on w tem zapamiętaniu trupa za trupem. Germanie cofali się, ich hufce pierzchać poczęły.

Rufus wtedy wyprawił drugiego posłańca.

Konstantyn widzi, jak najlepsi jego rycerze idą na śmierć, jak kohorty, które dotychczas nigdy się nie zachwiały, poczęły cofać się z zwątpieniem i rozpaczą, widział jak nieprzyjaciel pijany pewnością zwycięstwa z nieprzezwyciężoną siłą łamał jego szyki; przed sobą Rzym, z tyłu hańba i śmierć, a naokoło piętrzące się stosy zabitych wojowników... W tej stanowczej chwili zwrócił się do Boga chrześciańskiego.

— Jezu Chryste! — zawołał, wznosząc ręce i oczy ku niebu — jeśli istotnie był to Twój znak, który okazał mi się nad słońcem i przyrzekał mi zwycięstwo, to błagam Cię, dotrzymaj mi Twej obietnicy. Wtedy uwierzę i wyznam Ciebie, a wraz ze mną uzna Cię całe państwo i uwielbiać Cię będzie jako jedynie prawdziwego Boga... Legion szósty niech wyruszy do walki!

Na czele ulubionego Kandyda niosącego chorągiew »Labarum« i z okrzykiem bojowym: »Christus vincit« Chrystus zwycięża, rzucili się chrześciańscy bohaterzy na wroga. I dziwna rzecz! Jakoby na skinienie laski czarodziejskiej los potyczki stanowczo się zmienił. Jako wody rzeki odbijają się od skały o którą uderzają i cofać się muszą, tak zatrzymały się zrazu szeregi nieprzyjacielskie a potem pierzchać poczęły. Zdawało

się, jakoby nadprzyrodzone światło biło z lśniącego od słońca imienia Chrystusowego i raziło przeciwników promieniami jak płomienie gniewu Bożego. Równocześnie na szczytach skał pojawili się żołnierze Artemiusza; naokół widziano nieprzyjaciół spadających z prostopadłych ścian skalistych; wkrótce wzgórza oczyszczono z nieprzyjaciół, a wtedy kohorty Artemiusza szeroką doliną,. noszącą dziś nazwę od malarza Poussin wpadły nieprzyjacielowi w bok.

— Chrystus zwycięża, Chrystus zwycięża (Christus vincit) — zabrzmiało znowu echem; skrzydła pokrzepione na widok parcia szeregów środkowych uderzyły znowu na nieprzyjaciela, a następnie coraz głośniej rozlegał się na całej linii bojowej tak u chrześciańskich jak i pogańskich żołnierzy okrzyk: — Chrystus zwycięża! Chrystus zwycięża!

Rufus zgrzytał zębami z wściekłości, gdy na czele nieprzyjacielskich legionów ukazał się znów ten czarodziejski sztandar, który mu już po czterykroć wydarł z rąk zwycięstwo, i czterykroć zdarł mu wieniec wawrzynowy jego sławy wojennej; widząc jak żołnierze jego wstrzymani w zwycięskim pochodzie, a następnie odparci daremnie szli na śmierć, jak Pretoryanie, a nawet Herkulianie mięszać i cofać się zaczęli.

Wtedy trzeci posłaniec odszedł do miasta z wieścią do Maksencyusza. Lecz zaledwie cesarz odebrał tę wiadomość, marszcząc brwi ponuro, aliści nadchodzi nowa wiadomość tej treści.

— Przeklęty znak Chrystusów, ściele wszystko pod nogi; gdzież twoje przyrzeczenie? Jedynie twoja obecność zdoła odmienić los bitwy.

Maksencyusz na tę wieść strasznie zaklął. Ależ on przecież musiał zwyciężyć; to nie ulegało żadnej wątpliwości i jakkolwiek go gniewało, że musi opuścić igrzyska, za to tem większą okryje się sławą, pomyślał sobie, gdy jego własna osoba przyczyni się do zwycięstwa. Wtedy wszystek lud jemu tylko przypisze świetne zwycięstwo.

— Dobrze — rzekł — ponieważ Rufus nie może przełamać na kolanie berła Konstantynowego, więc będę ja to musiał uczynić. Nazareńczyku — zawołał szyderczo — zobaczymy, kto z nas dwóch będzie mocniejszym.

Po całogodzinnej jeździe stanął na pobojowisku.

Rufus tymczasem mógł przy wielkiej przewadze liczebnej swoich hufców poprowadzić z wojska odwodowego świeże legiony do walki, aby napadem wszystkich wojsk przechylić chwiejącą się szalę zwycięstwa na swoję stronę, i rzeczywiście wobec wału zwartych kolumn wstrzymany został chwilowo pochód nieprzyjaciela. Jednakże zdawało się, jakoby ponad legionami Konstantyna walczyły w powietrzu jakieś niewidzialne zastępy niebieskie, za znamię krzyża i jakoby jakieś niewidzialne ręce chwytały strzały i pociski wroga miotając je z powrotem na niego.

Gdy Maksencyusz okazał się na pobojowisku wrzała na całej linii, jak okiem sięgnąć, straszliwa rzeź. Kohorty pretoryańskie pomne swej świetnej przeszłości okazywały dawne męstwo; owi pretoryanie, którzy tak często cesarzy wznosili na tron i znowu ich strącali, padali bohaterską śmiercią za władcę, który wcale nie był godnym takiej ofiary. Z niemniejszą dzielnością walczyły także legiony z Sycylii i Afryki, które broniły każdej piędzi ziemi z odwagą, jaką wlewa rozpacz.... tem rozpaczliwiej, że płynąca za ich plecami rzeka, ku której coraz bardziej je spychano, zostawiła im tylko wybór między zaszczytną śmiercią w bitwie albo zgonem w zimnych nurtach wody.

Zjawienie się Maksencyusza powitali jego wierni żołnierze z zapałem. Mając na skroni złotą promienną obwódkę, u ramion powiewający płaszcz purpurowy, bez zbroi i broni ufny tylko w wrażenie, które osoba jego wywierała — stanął cesarz na czele Herkulian.

— Na Herkulesa, za mną — ryknął na swoję gwardyą cesarską, spinając rumaka ostrogami, tak, że tenże stawając dziko dęba skoczył w środek walczących nieprzyjaciół.

Za nim rzucił się Rufus, za tym znów sunęli Herkulianie wywijając maczugami na posuwających się ciągle naprzód przeciwników, lecz cóż zdoła przemódz siła przyrodzonej broni przeciw mocy niebieskiej?

Obok Maksencyusza padł trupem dzidą przeszyty jego dzielny dowódca, Rufus; przed ciągle naprzód postępującem »Labarum« cofnęły się nawet zastępy Herkulian.

Tak rozstrzygnęły się losy owego dnia.

Wkrótce popłoch i ucieczka stały się powszechnemi. W zupełnem rozprzężeniu uciekało wszystko ku owym dwom mostom, rzucając broń, ścigane przez jazdę galijską. Pod ciężarem uciekających rozstąpił się most złożony z łodzi, topiąc jednych w nurtach rzeki a odcinając drugim drogę do ucieczki; mała tylko liczba zdołała na luźno pływających łodziach dotrzeć do przeciwległego a stromego brzegu. Od zniszczonego mostu z łodzi rzucili się uciekający żołdacy ku mostowi milwijskiemu, ciągle ścigani i dosięgani od morderczych mieczy i pocisków nieprzyjacielskich. Kamienne poręcze po obu stronach mostu nie zdołały stawić oporu niezmiernemu parciu i naciskowi; to też złamały się a piechota i jezdni wpadali do wody i tam tłoczyli się w strasznem zamięszaniu, walcząc z śmiercią i piętrzącemi się falami. Nawet ci, co pływać umieli ginęli, wciągani w zimny i mokry grób przez tych, którzy w rozpaczy śmierci czepiali się ich, między nimi także Sabinus, syn prefekta kancelaryi.

Maksencyusz otoczony i zasłaniany przez swoich Herkulian i resztę Pretoryan dostał się ustępując zwolna aż do mostu; tu atoli masy uciekających tak się zbiły, że ani podobno było posunąć się o krok naprzód. W tej chwili zjawił się na czele szóstego legionu, na wspaniałym rumaku, Konstantyn, aby ostatnim ciosem położyć koniec krwawej bitwie. Powtarzając wraz z innymi żołnierzami okrzyk: »Christus vincit« uderzył z wielkim impetem na nieprzyjaciela, mając u boku »Labarum.«

Gwardya cesarska czując za sobą przewalające się fale wodne, przed sobą widząc straszliwy miecz nieprzyjaciół, zadający pewną śmierć, walczyła w ostatecznych wysiłkach.

Maksencyusz zaś spostrzegłszy, że wszystko stracone, spiął konia ostrogami i skoczył z stromego brzegu do rzeki. Atoli wezbrana rzeka porwała konia i jeźdźca; w rozpaczy objął tyran konia za kark i znikł w nurtach rzeki przed oczyma Konstantyna.

W tej chwili dał zwycięzca znak, aby zaprzestano walki i ścigania. Następnie zsiadł Konstantyn z konia ukląkł na ziemi i z odkrytą głową dziękował Niebu za świetne zwycięstwo. (C. d. n.)

ŻEBRAK-FUNDATOR.

GAWĘDA KLASZTORNA.

(Dokończenie.)

VII.

Dziad powędrował i wieść przepada,
I zapomniano starego dziada.
Aż oto... minął miesiąc nie dalej,
Pańska karoca po bruku pali,
A za nią wozów ładowanych w zboże
Wązka ulica objąć nie może.
Strojny w bogate z futrem czamary,
W karocy siedzi pan jakiś stary.
On skinął ręką i wozy staną
Przed Trynitarską fórtą drewnianą;
Pan wysiadł z wozu, i przed kościołem
Zdjąwszy swój kołpak, uderzył czołem,
A jako dobrze świadom tej strony,
Poszedł do celi, gdzie przełożony.
Widząc, że postać tak znakomita,
Ksiądz przełożony u progu wita,
Prosi do celi, jeżeli łaska;
Pan się uśmiecha i brodę głaska:
»Ej, dobry księże! czyż w nowej szacie
Starych znajomych już nie poznacie?
Patrzaj jaż przecię żebrak ten sąmy,

Coś z przed kościelnej przywiódł mię bramy,
Coście tak długo, ojcowie mili,
Chlebem karmili, winem poili;
Dziś znów przychodzę do was gościną,
Lecz niosę z sobą mój chleb i wino,
I was zapraszam do mego stołu;
Co Bóg udzielił, jedzmy pospołu,
A co zostanie, użyjem godnie:
Zjedzą ubodzy albo przychodnie!«
Ksiądz przełożony patrzy ciekawie,
Nie wie, czy we śnie, czy to na jawie,
Nie śmie zadawać pytań starcowi.
Ten się uśmiechnął i dalej mówi:

VIII.

»Nazwisko moje: Paweł Maikowski,
Bóg mię na długie błogosławił lecie,
Mam piękny dworzec, przy nim cztery wioski,
Miłość u ludzi i urząd w powiecie.
Byłem szczęśliwy wpośród dziatwy grona,
Lecz sądów bożych nikt nie zna, nikt nie wie;
Umarła dziatwa, umarła mi żona,
Zostałem jeden, jako liść na drzewie.
Gdy drodzy sercu, gdy zmarli jedyni,
Tęskno mi było w mym złoconym gmachu;
Jęczałem smutnie, jak ptak na pustyni,
Jako kruk nocny, co czuwa na dachu.
I rzekłem w duchu: dopomóż mi, Panie!
Dolę, niedolę złożyć w Twoje ręce,
Niech dusza moja spokojną zostanie,
Na chwałę Twoją me włości poświęcę!
Bóg mię wysłuchał w utrapieniu mojem
I duszę świętym nawiedził spokojem.

A więc skwapliwy ze śluby mojemi,
Przed Sakramentem przysiągłem w kościele,
Grosz mego skarbca i majątek ziemi
Oddać na dobre dla ludzkości cele:
Na jakiś zakon, co w świętej pokorze,
Z otwartem sercem jako Zbawca stoi,
Pełni nad bliźnim miłosierdzie boże,
Łaknących karmi, pragnących napoi,
Co garnie ludzi, jako Chrystus dzieci,
Słabych umocni, a ciemnych oświeci.

Jest pełno mnichów, wszystko niebogaci,
Wszyscy gorliwi i święci być mogą;
Jak zrobić wybór między tylu braci?
I kogo wesprzeć moją zapomogą?
Więc jąłem czytać zakonnicze prawa,
I patryarchów klasztornych statuta;
Widzę, że wszędzie zbawienna ustawa,
Jeśli występkiem ludzkim nie popsuta.
Jakiż tu wybór i różnica jaka?
Duch Święty środek poszepnął mi na to:
Przywdzieję szmaty prostego żebraka,
Sam się przekonam za klasztorną kratą,
Gdzie ludzie bardziej w zakonie zupełni?
Kto piękniej cnotę miłosierdzia pełni?

IX.

Więc z kijem w ręku, w żebraczej odzieży,
Szedłem do miasta w pokornej postaci;
Zliczyłem krzyże od kościelnych wieży,
I zapukałem do najpierwszych braci,
Ojcze szanując ich sukienkę świętą,
Tego klasztoru głośno nie nazowę
Dość, że mnie ztamtąd zelżywie wypchnięto,
Gdym prosił chleba w Imię Chrystusowe.
Poszedłem dalej, przed memi oczyma
Stanął klasztorek świętego Bernarda,
I tam do zbytku uprzejmości niema,
I tam mię gorzka spotkała pogarda,
Tylko mi dała ręka litościwa
Krajankę chleba i szklanicę piwa.

Tak mię to zimne przyjęcie odstrasza,
Że w waszą fórtę nie pukałem zgoła
Tylko ukląkłem, a uprzejmość wasza
Sama żebraka wzięła z pod kościoła;
Wyście mi dali ojcowską gościną
Chleb i gospodę, i serce, i wino.
Ślub mój spełniony, niech w waszym klasztorze
Zostanie moja posiadłość ojczysta;
Tu się wypełnia miłosierdzie boże,
Tu z moich darów społeczność skorzysta;
Skorzysta więzień, co wykupu czeka,
Stary przechodzień i żebrak kaleka.

X.

Oto, mój ojcze, przyznany w urzędzie
Akt fundacyjny księży Trynitarzy.
Ze czterech wiosek dostatecznie będzie
Przyjąć żebraka, kiedy się nadarzy,
I dźwignąć z muru kościelną budowę,
I monasteru kurytarze nowe.
Ja wszystek grosz mój składam w twoje ręce,
To będzie dla mnie starego na kaszę,
Bo ja się do was na gościnność wnęcę.
Dawny znajomy, wiem porządki wasze:
Dacie mi ciepłą choć malutką celę,
I w refektarzu stolik gdzie się jada,
Nawet pamiętam, że w waszym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Potem mię pogrześć będziecie łaskawi,
Bo już przeczuwam swój kres niedaleki;
Niechaj się co rok kilka mszy odprawi
Za mego życia i potomne wieki.
A gdy z mych wiosek będziecie bogaci,
Spełnić wam jeden warunek potrzeba:
Złóżcie corocznie bernardyńskiej braci
Beczułkę piwa i bochenek chleba;
Bo oni w kuchni swego refektarza
Chlebem i piwem przyjęli nędzarza.«

XI.

Obok zamku, co stare przypomina dzieje,
Murem obwiedzion kościoł i klasztor bieleje.
Tak tu święcie, tak cicho, że westchniesz z rozkoszą!
W kruchcie siedzą żebracy i jałmużny proszą.
Zapytaj ich, przechodniu, a każdy ci powie,
Kto dał pierwszy początek ceglanej budowie:
Że bogaty fundator w żebraczym ubiorze,
Probując gościnności, był w każdym klasztorze.

Że zewsząd odepchnięty, choć kłaniał się nizko,
Tu jeno chrześciańskie znalazł przytulisko;
Że przezeń Trynitarze zostali bogaci,
Że włożył obowiązek na zakonnych braci,
By ojcom Bernardynom, jako rok upływa,
Składali bochen chleba i beczułkę piwa;
Że ten stary obyczaj aż dotąd się trzyma,
Że dziś ojce gościnnie przyjmują pielgrzyma,
By snadź bogaty żebrak, jeżeli się zdarzy,
Nie powędrował dalej szukać Trynitarzy.

Wł. Syrokomla.

Panowie na Głogówku a królowie polscy.

Starożytny ród niemiecki Oppersdorffów, którzy w początkach XV wieku osiedli na Ślązku, a w roku 1593 kupili od cesarza Rudolfa II państwo głogowskie za 100,000 talarów, zostawał w bardzo przyjacielskich stósunkach w XVII w. z królami polskimi. Pierwszy z tego rodu, który zbliżył się do dworu polskiego, był Jan Jerzy Oppersdorff. Był to pan bardzo możny. Wyniesiony w r. 1626 przez cesarza Ferdynanda II do stanu hrabiowskiego, dokupił 1642 r. państwo raciborskie za 130,000 talarów (talar liczył wtenczas 36 groszy albo 72 kreucery) i odtąd pisał się hrabią świętego państwa rzymskiego, wolnym panem na Aichu i Frydsteinie, panem na Głogówku, Frydku i zamku raciborskim przyległościami. Nadto mianował go cesarz swym radzcą i szambelanem, oraz starostą księstwa głogowskiego.

Ten to Oppersdorff zastępował 1622 roku królewicza polskiego Władysława na weselu córki ślązkiego szlachcica Kochtickiego i tejże w jego imieniu wręczył upominek, a w roku 1625 udał się do Warszawy, aby w imieniu cesarza Ferdynanda II wyrazić królowi Zygmuntowi III-go współczucie z powodu śmierci siostry królewskiej. W takimż celu wyprawił go cesarz w sześć lat później do Warszawy na wieść o śmierci małżonki króla Zygmunta Konstancyi. Gdy w tymże roku (1631) królewicz Władysław przebywał na Ślązku, wyświadczał mu dziedzic Głogówka rozmaite przysługi.

Jan Jerzy cieszył się szczególniejszem zaufaniem Zygmunta III, czego przyczyną był równy sposób myślenia i równe dążności obydwóch tych mężów. Jan Jerzy był bowiem, jak król, gorliwym katolikiem, jak to się okazuje z następujących szczegółów.

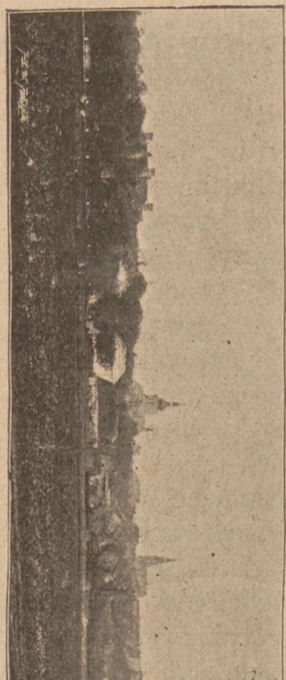
Objąwszy 1617 roku w posiadanie Głogówek, zgromadził wszystkich ewangelików, którzy nie chcieli złożyć mu hołdu, dopókiby im nie przyrzekł wolności religijnej, na ratuszu, poczem ich pojmać i do więzienia wtrącić kazał, a na murach miejskich poprzylepiać plakaty ogłaszające ich »szelmami i buntownikami«, wreszcie kazał rozwalić zbór ewangelicki i szkołę, a ewangelickim mieszkańcom albo miasto opuścić, albo też powrócić na łono katolickiego Kościoła, skutkiem czego znikła gmina ewangelicka w Głogówku. Postępowanie Oppersdorffa było odwetem za srogie obchodzenie się protestanckich panów z katolickimi poddanymi.

Mąż taki miłym być musiał królowi Zygmuntowi III, który występował jako szermierz katolicyzmu na wschodzie Europy i wszędzie zwycięstwo mu zjednać usiłował. Z pewnego pisma Zygmunta III do Jana Jerzego Oppersdorffa wynika, że wymieniali oni ciągle listy ze sobą, których przedmiotem były sprawy katolicyzmu. Między innemi chodziło o to, aby zapobiedz kręceniu się po Polsce i Ślązku protestantów i utrudnić im pobyt w tych krajach.

W dowód swej łaski pozwolił Zygmunt III hr. Oppersdorffowi 1625 roku pobierać do końca życia rocznie 30 bałwanów soli (bałwan wynosił około 40 centnarów) z Wieliczki bez żadnych opłat.

I Władysław IV, który po zgonie ojca 1652 r. objął koronę polską, nader był łaskawym na dziedzica Głogówka.

Gdy w roku 1634 Szwedzi wtargnęli do Ślązka, udzielił Władysław IV hr. Oppersdorffowi i całej jego rodzinie schronienia w swych ulubionych Niepołomicach, do których sam często zjeżdżał na łowy; puszcza bowiem Niepołomicka słynęła z mnóstwa zwierzyny. Władysław IV zabił tam 1644 r. aż 50 jeleni. Tam tedy hr. Oppersdorff przebywał, dopóki Szwedzi nie opuścili Ślązka.



WIDOK GŁOGÓWKA.

W trzy lata później nową król wyświadczył łaskę hr. Oppersdorffowi potwierdzeniem przywileju ojcowskiego co do soli wielickiej.

Nic dziwnego tedy, że jak najserdeczniej podejmowano Władysława IV w Głogówku, gdy tenże w przejeździe do Austryi w roku 1638 zawitał wraz z małżonką i królewną i licznym orszakiem senatorów. Dostojni państwo noc przepędzili na zamku i nazajutrz, spożywszy śniadanie, wyruszyli w dalszą drogę.

W niespełna rok po pobycie pary królewskiej w Głogówku, musiała rodzina Oppersdorffów schronić się przed Szwedami do Krakowa, gdzie jej król Władysław wyznaczył mieszkanie na zamku. W tymże czasie ofiarował hrabiemu i jego rodzinie gościnę Jakób z Konina Kołaczkowski, kanonik krakowski i sekretarz królewski, dziedzic Jutrosina, który wielu uciekających przed Szwedami Ślązaków przyjmował w dobrach swoich.

Nowy dowód przychylności dał król Władysław hrabiemu, przyczyniając się niemało do uświetnienia wesela syna jego Franciszka Euzebiusza, z Zuzanną de Wrchles, które odbyło się w Warszawie dnia 6-go Stycznia 1641 roku. Nadto przyjął na prośbę hrabiego bratanka jego w poczet dworzan swoich.

W roku 1642 znowu Szwedzi postąpili pod Głogówek. Zaledwo zdołał hrabia z rodziną ujść do Krakowa, gdzie wówczas bawili król Władysław z małżonką, królewicz Jan Kaźmierz, królewicz Karol Ferdynand, biskup wrocławski, i młody książę neuburski z żoną.

W Krakowie dłuższy czas przeleżał hrabia w łóżku i już mu chciał pewien medyk ucinać lewą nogę, która bardzo opuchła, ale cyrulik Jan Zakrzewski oparł się temu i takich użył sposobów, że hrabiego z niebezpieczeństwa wybawił.

Tymczasem Szwedzi straszliwie plądrowali na Ślązku. Dnia 13-go Października 1643 roku ukazał się generał Torstewson w Głogówku i stanął na zamku, gdzie dni sześć przepędził. Okropne spustoszenia wyrządzili w tym czasie Szwedzi i gorzej niż Turcy z

ludźmi się obchodzili. Z zamku i kościoła zabierali wszystko, co tylko jaką wartość miało, a czego zabrać ze sobą nie mogli, spalili lub zniszczyli. Do takiego nawet posunęli się barbarzyństwa, że przed studniami postawili warty i każdemu mieszczaninowi za konew wody po czeskim groszu płacić kazali. Także drzewa owocowe poniszczyli, a niechlujstwem swojem spowodowali pomiędzy ludźmi, z którymi jedli i spali, brzydką chorobę, na którą wielu pomarło.

Szkody w zamku, w ogrodach, na folwarkach i w mieście szacowano w ogóle na 116,691 talarów, licząc konia po 12 talarów, wołu po 10 tal., krowę po 6 tal., a zboże wedle ówczesnej ceny targowej.

Zaraz po objęciu w posiadanie obydwóch księstw przez Władysława IV udał się Jan Jerzy Oppersdorff w imieniu stanów ślązkich do Warszawy z prośbą o potwierdzenie przywilejów Janusza, księcia opolskiego, co też dnia 19-go Grudnia 1645 r. nastąpiło.

W trzy lata po zgonie królewskiego swego przyjaciela umarł Jan Jerzy Oppersdorff (1651 r.), a stósownie do jego ostatniej woli, zaniosło czternastu najuboższych mieszkańców Głogówka ciało jego bez żadnej wystawności, bez trumny nawet, na prostej desce do krypty miejscowego kościoła. Pozostawił on po sobie pamięć nie tylko gorliwego katolika i hojnego katolickiego duchowieństwa dobrodzieja, ale także opiekuna biednych i dobrego katolickich swych poddanych pana.

Z pierwszego jego małżeństwa z Benigną, baronówną Promnitz, pochodził Franciszek Euzebiusz Oppersdorff, który tak jak ojciec przywiązany był do Wazów, za co mianowany został nie tylko królewskim radzcą i podkomorzym, ale także starostą księstw opolskiego i raciborskiego.

W r. 1652 odwiedził go trzy razy w Głogówku Karol Ferdynand, biskup wrocławski i płocki, z kilku znakomitymi panami świeckimi i duchownymi. Rad tak wielkiemu gościowi, wyprawiał dla niego hrabia łowy, którymi książę-biskup chętnie się zabawiał.

I Jan Kazimierz następca Władysława IV na tronie polskim, pozwolił roku 1654 hr. Oppersdorffowi pobierać sól z Wieliczki, ale tylko 15 bałwanów, ponieważ Polacy krzywo na to patrzyli, że tak wiele soli bezpłatnie wywożono z kraju.



Canovas del Castillo, hiszpański prezydent ministrów.
(Obacz objaśnienia rycin na str. 544).

Gdy w r. 1655 Szwedzi zalali Polskę i największe miasta, Warszawę i Kraków zajęli, widział się Jan Kazimierz zmuszony państwo swe opuścić. I nadarzyła się hr. Oppersdorffowi sposobność okazania współczucia i wdzięczności nieszczęśliwemu bratu tego, który ojcu jego i jemu samemu w podobnej niedoli w dobrach swoich nieraz udzielał schronienia.

Gdy więc Jan Kazimierz z małżonką Maryą Ludwiką przybył do Opola, ale tam odpowiedniego mieszkania nie znalazł, bo stary Piastowski zamek stał ruiną, zaprosił Franciszek Euzebiusz parę królewską na swój zamek w Głogówku. Zaczem dnia 7-go Października 1655 r. przybyła z dworem swoim i kilku senatorami do Głogówka królowa, a w dwa tygodnie później Jan Kazimierz. Tu 24-go Października w obecności króla ozdobił Andrzej hrabia na Lesznie Leszczyński, arcybiskup gnieźnieński, infułą

biskupa łuckiego Jana Wydżgę, który później został Prymasem Polski.

Bohaterska obrona Częstochowy pod przeorem Paulinów, księdzem Augustyanem Kordeckim, podniosła ducha Jana Kazimierza i bawiących u boku jego senatorów. I postanowiono powrócić napowrót do kraju. Zaczem dnia 18-go Grudnia 1655 r. pożegnał król hrabiego, mianowawszy go swym podkomorzym i obdarzywszy go trzema rumakami, i przez Racibórz udał się do Polski, by znowu stanąć na czele narodu.

Królowa pozostała jeszcze czas niejakiś w Głogówku z arcybiskupem gnieźnieńskim i innymi panami. Dnia 24-go Stycznia 1656 roku trzymała tamże do chrztu z wojewodą sandomirskim, Władysławem Gonzagą Myszkowskim, nowonarodzoną Ludwikę Maryą Oppersdorff.

I Jan III Sobieski zachował hrabiego Oppersdorffa przy dawnym przywileju solnym dokumentem wystawionym w Bracławiu 21-go Stycznia 1675 roku,*) a na początku roku 1683 wyrządził mu niezwykły zaszczyt, nadał mu bowiem z pozwoleniem sejmu Warszawskiego szlachectwo polskie.

Wpisanie cudzoziemca w poczet szlachty polskiej było nie tylko zaszczytem dla niego, ale przynosiło mu niemałe korzyści, mógł bowiem piastować urzędy w Polsce, posiadać intratne starostwa, uczestniczyć w sejmach i obiorach królów, a nawet sam zostać królem.

Ztądto członkowie najznakomitszych rodzin niemieckich, jak książęta wirtemberscy, hrabiowie nassawscy, hrabiowie Flemingowie i inni ubiegali się o polski indygenat.

Niebawem złożył hrabia Oppersdorff dowody wdzięczności królowi Janowi. Gdy bowiem »Jan z nieba zesłany« w roku 1683 dążył na odsiecz zagrożonemu przez Turków Wiedniowi, przyjmował go hrabia wraz z synem swoim nader gościnnie na Ślązku, o czem pisze naoczny świadek, sekretarz hr. Oppersdorffa, a korespondent pierwszej gazety ślązkiej, której pierwszy numer ukazał się 1-go Czerwca 1983 roku, wedle ks. Weltzla, w ten sposób:

»Że się tak długo nie odzywałem, przyczyną tego ciągłe jeżdżenie, gdyż musieliśmy przez dwa tygodnie tu (w Raciborzu) i w Gliwicach przyjmować króla polskiego. Mego pana hrabiego (Jana Jerzego Oppersdorfa) pan ojciec (Franciszek Euzebiusz) witał ze stanami jako starosta króla za Gliwicami na granicy polskiej. Oracyą wygłosił kanclerz, pan baron Wilczek, panowie zaś, jako też i cały dwór nasz, odprowadzali go do Gliwic konno, wszyscy pięknie przybrani. Król przybył w berlińskiej kolasie, zaprzężonej w sześć bułanych koni na miejsce, gdzieśmy go przyjmowali. Obok niego jechali konno wielki koniuszy starszy królewicz (Jakób), młody hr. Doenhoff i mnóstwo polskich kawalerów. Towarzyszyły zaś królowi dwie kompanie przybocznej straży i cały dwór. Skoro tam przybył, dosiadł konia i towarzyszyliśmy mu do Gliwic, gdzie nocował u OO. Franciszkanów, całe wojsko zaś, które wynosiło 50,000 ludzi z 28 działami, z których strzelano za jego przybyciem, rozłożyło się obozem pod Gliwicami, a miało bardzo piękne namioty. W życiu swojem nie widziałem tyle tłómoków, było tam bowiem 6000 wozów, a jak piękne konie mieli Polacy, tego wypowiedzieć nie mogę.

Dnia 22-go b. m. przenocował Jego Królewska Mość w Rudzie, w pięknym klasztorze Cystersów, następnego zaś dnia przybył do Raciborza na obiad i mieszkał na zamku. Przed obiadem grał z naszą hrabiną, oraz hrabiną Praźma i panią z Żerocina w alumbra (l hombre), królewicz zaś z pannami. Po skończonej grze poszli do stołu. Po lewej króla usiedli królewicz, za nim dużo wielkich pań oraz nasza hrabina i panna. Z towarzyszy jego siedli tylko hetman wielki koronny (książę Stanisław Jabłonowski), wielki koniuszy i kilku puł-

*) Jeszcze syn powyższego Oppersdorffa, także Franciszek Euzebiusz, pobierał na mocy przywileju króla Augusta II z 1-go Lipca 1698 roku 15 bałwanów soli z Wieliczki do roku 1708. Na nim wygasła 1714 roku linią ślązka hrabiów Oppersdorffów. Następująca po niej w Głogówku linia morawska potwierdzenia owego przywileju nie uzyskała.

kowników, inni kawalerowie, jako też i nasi, posługiwali, którymi przywodzili hrabia Colonna i hrabia Prosków.

Król jest to pan bardzo otyły, wspaniałej postawy, a miał na sobie niebieski, złotem haftowany żupan, na nim po lewej stronie na niebieskiej wstędze bardzo piękną gwiazdę z dyamentów nieocenionej wartości. Kontusz miał brunatny z pięknego holenderskiego sukna, a na nim po lewej stronie gwiazdę z samych pereł wielkości grochu, po prawej zaś wielki złoty łańcuch z małą złotą strzelbą. Czapkę miał karmazynową pięknymi sabolami podszytą, ale przez cały czas siedział z odkrytą głową.

Po obiedzie z całą strażą przyboczną i całym dworem jechał konno milę za Racibórz, wojsko zaś zostało pod miastem i dopiero nazajutrz ruszyło z całą artyleryą przez most raciborski. Wtedy można widzieć było doskonale wojsko, bo jedna kompania szła za drugą, od drugiej po południu do ósmej wieczorem. Także następnego dnia szło pięć pułków piechoty, a za tydzień ma przybyć jeszsze 8000 Litwinów. Załączam spis pułków i ile żywności co dzień spotrzebowały.

Zresztą król przestrzega ściśle porządku, a w Tarnowicach czterech ludzi kazał powiesić za rabunki. Husarzy mają wszyscy skrzydła, a odzież ich całkiem z wilczych futer, włosem na wierzch, broń ich kopia, para pistoletów i szabla; strzelcy mają pancerze. Jest też tam 5000 Ormian, którzy mają wysokie czerwone czapki, krótkie czerwone kurtki bez rękawów i długie szarawary, broń ich topór i strzelba; wszystkie kompanie mają krzyż na chorągwiach«.

Tyle sekretarz hr. Oppersdorffa. Dodać należy, że Jan III, przechodząc przez Ślązk, był też w Niem. Piekarach, gdzie przed cudownym obrazem Matki Boskiej modlił się o pomyślność oręża polskiego. Na tem samem miejscu przeszedł następca jego na tronie polskim, elektor saski August II, na łono katolickiego Kościoła. W Gliwicach zaś posadzono na pamiątkę pobytu wielkiego króla lipy, które zwano »lipami króla Jana.«.

Dziś z zamku Raciborskiego tylko nieznaczna część się zachowała, którą zamieniono na browar. Kupił go zresztą od hrabiów Oppersdorffów w roku 1712 wraz z przeległościami za 134,000 talarów Karol Henryk, pan wolny na Sobku i Rauthen, poczem przez rozmaite przechodził ręce. Obecnie dobra Raciborskie należą do księcia na Raciborzu i Corvey z rodu Hohenlohow-Waldenburg-Schüllingsfürst.

Teraźniejszy zaś wspaniały zamek w Głogówku, w którym pokazują jeszcze komnatę niegdyś w czasie niedoli zajmowaną przez Jana Kaźmierza, wybudowali na najwyższym punkcie miasta, na miejscu dawniejszego Piastowskiego zamku, sprowadzeni z Włoch pana Jana Jerzego hr. Oppersdorffa architekci pomiędzy 1645 a 1646 rokiem. Był on dawniej obronnym, zewsząd wodami i fosami otoczonym, a w czterech rogach ozdobionym okrągłemi strażnicami z kopułami. W bieżącym wieku zmieniono tak zwaną salę książęcą, która pozostała była z Piastowskich czasów, zrzucono kopuły, a wieżom nadano kształt dzisiejszy. W tym zamku odbyło się dnia 3-go i 4-go Czerwca 1892 roku wesele księcia na Radolinie, ambasadora niemieckiego w Konstantynopolu, z hrabianką Joanną Oppersdorff, na którem się także cesarz Wilhelm II znajdował.

O WIECU.

Wiec, wyraz starożytny polsko-słowiański, oznaczający naradę, zebranie się starszyzny w celu obradowania lub sądzenia. W najstarszej polskiej pieśni religijnej »Bogarodzica« słyszymy:

Adamie, ty Boży kmieciu — Ty siedzisz u Boga w wiecu.

To się znaczy w radzie najdostojniejszej. Pochodzenie tego wyrazu Naruszewicz trafnie określa: że większe sądowe zgromadzenie zasiadało w okrąg, w wieniec, in corona. Wiec jest tylko skróceniem wyrazu wieniec, oznaczającego koło, okręg obradujących. I później były wyrazy: »koło« rycerskie, »koło« poselskie. W żywocie św. Ottona czytamy, że u Pomorzan w Szczecinie (r. 1124), z liczby czterech kątyn czyli świątyń pogańskich, w trzech były pourządzane dokoła siedzenia i stoły, gdzie Szczecinianie odbywali swoje narady, trwające nieraz od rana do północy, na których uchwalano wojny, obierano wojewodów, stanowiono podatki i odbywano sądy. I późniejsze sejmiki polskie odbywały się także w kościołach. Inni niewłaściwie dopatrują źródłosłów wieca w słowach wiedzieć i wieszczyć. W tymże żywocie św. Ottona znajdujemy, że nasz Władysław Herman nie chciał się powtórnie żenić bez zezwolenia panów i odbył z nimi wiec. Wiemy także z kronik, iż wdowa po Bolesławie Krzywoustnym na wiecu walnym (colloquium generale) w Korczynie, żądała pozwolenia od Polaków, aby córkę mogła dać do klasztoru. W r. 1180 odbył się wielki wiec w Łęczycy, na którym był Kazimierz Sprawiedliwy, inni książęta, biskupi i przedniejsi panowie. Bielski powiada, że »Litwa wpadła do Polski, gdy Leszek w Krakowie wiece sądził: porwał się tedy zaraz ze szlachtą wszystką, która na ten czas była na wiecach.« Bartoszewicz pisząc obszernie o wiecach w Polsce i na Rusi, mówi, że w gminnowładnej Słowiańszczyźnie wiec był pierwowzorem późniejszego sejmu, parlamentu. Na wiece schodziły się gminy i opola, aby radzić i sądzić. W starych wiekach nie było, nie mogło być rozdziału władz rozróżniającego je między sobą, bo do tego potrzeba dojrzalszej organizacyi społeczeństwa. Starszyzna zbierała się w opolu, powiecie, ziemi na wiec i radziła, sądziła, stanowiła o wszystkiem.

W zachodniej Słowiańszczyźnie u Lutyków na wiecach stanowi nie większość ale jednomyślność, jak później w Polsce liberum veto. Ta była tylko wielka różnica, że u Lutyków, kto uporem radę zrywał, tego zaraz bito, dom jego obalano i palono, a u Polaków dopiero po śmierci zwłoki Sicińskiego przez dwa wieki były przedmiotem obelg i zniewagi. W źródłach dziejowych polskich, t. j. kronikach, przywilejach i dyplomach, znajdują się wzmianki niezmiernej liczby wieców większych i mniejszych, nazywanych po łacinie: colloquia, colloquium, generale, parlamentum, placitum generale. Stryjkowski, który mówiąc o sejmikach wyraża się »sejmiki albo wiece,« powiada o dawnych Połoczanach, że poczęli sobie po staremu wiecami się sądzić, a pana nad sobą nie mieli«. Dawne wiece Polaków i wiece Rusi tem się jednak różniły między sobą, że książęta piastowscy będąc jednej krwi z ludem polskim, choć prowadzą częste wojny między sobą, ale wierni tradycyom narodowym, znają wagę starszyzny, szanują jej radę, liczą się z powagą wieców i ztąd rzadkie są w Polsce przykłady książąt skłóconych ze swym ludem. Wiece zatem polskie są spokojniejsze i rozstrzygają wspólnie z Piastami najważniejsze sprawy, zwykle zgodnym sposobem. Nie mogło być tego u Słowian, którzy dostali się pod panowanie obcoplemiennych zaborców, chciwych zysku i niewoli samowładców, jakimi byli Waregowie. Stąd pod Waregami szereg ciągłych powstań, zrzucanie panujących i zacięta z nimi walka ludu o prawa i swobody. Władysław Łokietek na walnych wiecach pod Sulejowem dokonywa unii Wielkopolski z Chrobacyą, czyli księstwem krakowskiem. Z wieców powstały w Polsce sejmy, które tem się różniły, że nie były zwoływane dla jednej ziemi lub prowincyi, ale były reprezentacyą całej Korony, tak samo zaś jak wiece o wszystkiem radziły, stanowiły i sądziły. Nie przestały jednak istnieć i w formie dawniejszej, ale nie jako władza polityczna ale sądownicza, a że odbywały się w pewnych terminach, stąd je nazwano »rokami,« termin bo-

wiem po polsku rokiem się zowie. Skrzetuski w »Prawie polskiem« określa: »Wiece czyli roki walne, colloquia generalia, był to najwyższy sąd, na którym król sprawy ostatecznie rozsądzał. Od sądą ziemskiego i grodzkiego wolno było apelować na wiece w każdej ziemi i stale obranych miejscach corocznie odbywane.« Jagiellonowie porządkują prawa o wiecach, które już teraz nazywają się sądami wieców generalnych czyli judicia colloquiorum generalium. Przewodniczyli na tych wiecach kasztelanowie i wojewodowie w imieniu króla. Rozstrzygały się przed nimi sprawy o dziedzictwo, sprzedaże dóbr i t. d. Najważniejsze akta tych spraw, zwane »księgami osobliwemi,« przechowywane były pod trzema kluczami: sędziego ziemskiego, podsędka i pisarza ziemskiego, którzy musieli być obecni na wiecach. Sądy małe ziemskie odbywały się po powiatach co miesiąc. Sądy większe czyli wiecowe, podług uchwały z r. 1496 odbywały się w każdej ziemi 3 razy do roku. Wiece zaś generalne czyli sądy najwyższe, zwykle pod prezydencyą króla, przynajmniej raz do roku. Król zapraszał na nie wojewodów, kasztelanów i starostów, biskupów i całe ziemstwa, stanowiąc po dawnemu kary na nieprzybywających. Na wiecach tych obradowało i sądziło się po kilka województ. Były to sądy apelacyjne od sądów ziemskich i grodzkich. Wyroki tych wieców generalnych obowiązani byli wykonywać starostowie. Sejm r. 1565 po raz ostatni urządzając dawne roki i wieca, postanowił, że sądy ziemskie po ziemiach mają zasiadać trzy razy do roku, a wiece wojewódzkie czyli wielkie roki raz na rok. W razie niemożności przybycia wojewody na wiece »odprawował takowe kasztelan z innymi dygnitarzami i urzędniki.« Termina wieców wojewódzkich czyli roki oznaczone były stale a prawie wszystkie wypadały podczas jesieni. Kromer oglądał ostatnie sądy wiecowe w Polsce i pisał o nich w ósmym dziesiątku XVI wieku. Co dziwniejsza, że na Ślązku oderwanym dawno od Polski, starodawny polski obyczaj wieców, trwał wówczas jeszcze w całej sile. Istniejąca tam jeszcze wtedy szlachta polska pod obcem panowaniem trzymała się wiernie narodowego obyczaju. Od wyroku tedy wydanego przez sąd ziemski w jednym powiecie, apelowano do wiecu zebranego z dwóch lub trzech ziem sąsiednich na Ślązku. Gdy wiece sądowe przeżyły się już w Polsce i nie odpowiadały nowym potrzebom organizmu społecznego, jak człowiek, który strawiwszy długi wiek na usługach kraju, umiera ze starości, wtedy król Stefan Batory z narodem powołał do życia kiełkującą już pierwej instytucyę, którą były trybunały Rzeczypospolitej. Ślady dawnych wieców zacierały się z rokiem każdym. Do ostatnich tylko czasów Rzeczypospolitej, sędzia prymasowski, który rozstrzygał sprawy chłopskie należącego do prymasów księstwa Łowickiego, zwał się wiecowym. Sądy miejskie łowickie zwano również wiecowymi. Mikołaj Rej w »Zwierzyńcu« przyganiając wydatkom jakie pociągało za sobą wiecowanie, mówi:

Włóczący się po wiecach, biegając za dworem
Musi wszystko wysypać, by więc miał i worem.

W ZAROŚLACH AUSTRALSKICH.

(Ciąg dalszy.)

— A tak, o polowaniu niema mowy w tym kraju, przynajmniej od czasu jak tu jestem nie zdarzyło mi się jeść innego mięsa, jak tylko baraninę.

— Przykro to bardzo dla takiego starego myśliwego jak ja, zwłaszcza, że tu wolno każdemu polować. Kiedy mieszkałem w Lancashire niejednego jele-

nia sprzątnąłem szlachetnym lordom; raz tylko spudłowałem i za to dostałem się do Botany-bai.

— Przypuszczam, że strzelaliście wtedy do strażnika leśnego?

— Tak też i było Mate. Całkiem inaczej strzela się do ludzi jak do zwierzyny, wziąłem go dobrze na cel, gdyż mię złapał na gorącym uczynku i chciałem się ratować, ale ręka zadrżała i zamiast w piersi, trafiłem go w ramię. Jak się przewrócił, myślałem, że już po nim i poszedłem do domu, ale gdzie tam! raniłem go tylko. Później kiedy go znaleziono wystąpił ze skargą przeciwko mnie, a przysięgli wydali wyrok, że jestem winny, i skazano mię na dożywotnią deportacyę. Takim nędznym sposobem dostałem się do tego przepalonego kraju, niech go licho porwie! He, Billy, teraz kieliszek wódki, aby spłókać kurz w gardle, a potem dajcie mi jeść, bo jestem głodny jak Dingo.

Hutkeeper, wykonywując co mu polecono, postawił na stole flaszę wódki, świeże dampery, zimne mięsiwo i przyrządzoną herbatę. Owczarz spożywał to wszystko z doskonałym apetytem, podczas gdy jego pomocnik jadł mało, pił jeszcze mniej i zdawał się być smutniejszym niż zwykle.

— Pewno rozmyślacie o swojej ojczyźnie i o najukochańszej co w niej została — odezwał się Bob wesoło.

— O czemże innem można myśleć w tej samotni? — odpowiedział Wilhelm smutno podpierając głowę lewą ręką — gdybym został tu jeszcze ze trzy miesiące oszalałbym!

— Mam nadzieję, że do tego nie przyjdzie Mate! Ale po jakiego djabła przybyliście tu do Australii?

— Złoto mię tu przyciągnęło. Mam tam narzeczoną, której przyrzekłem powrócić jak tylko mi się poszczęści w obcej, dalekiej części świata.

— Więc w waszym kraju nie mogliście znaleść szczęścia?

— W tych złych czasach, zaledwo mogłem tyle zarobić aby się samemu wyżywić, a o ożenieniu się ani myśleć nie można było?

— Narzeczona pewno też nie ma nic?

— Również bogata jak i ja. O tyle jej lepiej, że mieszka przy krewnych.

— Czyście oznaczyli czas waszego powrotu?

— Powiedziałem, żeby czekała na mnie trzy lata, spodziewając się przez ten przeciąg czasu zbogacić się, tymczasem upłynęło już półtrzecia roku, a niemam nawet dość pieniędzy aby opłacić koszta wysłania do niej listu.

— A cóż wy chcecie pisać?

— Muszę przecież zwrócić słowo mojej narzeczonej aby dłużej na mnie nie czekała i powiedzieć jej, że przez cały ten czas, zdołałem zaledwie zostać parobkiem u owczarza, biedniejszego od wyrobnika u nas. Napisać to muszę przy pierwszej lepszej sposobności, gdyż niema żadnej nadziei, aby kiedy mój los tu się polepszył. Wiem o tem, że napisać to nakazuje mi uczciwość, dla tego też jestem taki smutny. Kocham moją narzeczoną nad wszystko, tęsknię do niej, a zapewne nigdy już jej nie zobaczę i przyjdzie mi gdzieś w jakim lesie zostawić swoje kości.

— No, no, nie trzeba nigdy rozpaczać dopóki tylko lampka życia jeszcze płonie. Australja to taki szczególny kraj, że szczęście przychodzi samo, wówczas gdy się o niem ani myśli. Macie jeszcze sześć miesięcy przed sobą, a przez ten czas wiele rzeczy może się zmienić.

— Bardzo wątpię aby szczęście przyszło do nas w odwiedziny tu, w tym szałasie z kory drzewnej, nad brzegami Erskine.

— Zaprawdę, byłaby to rzecz ciekawa gdyby się wydarzyła. Za dwa tygodnie upływa termin naszej zakontraktowanej służby i od nas zależeć będzie pozostać tu dłużej lub nie.

— A cóżbyśmy innego robili? Ciężka praca w kopalniach przechodzi moje siły, gdybym tam poszedł znaczyłoby tyle, co odrazu się powiesić.

— E do licha Mate, coś strasznie mało masz odwagi. Jak mię widzisz, w długiem i nieszczęśliwem mojem ży-

ciu, więcej niż sto razy miałem ważniejsze jeszcze powody żeby się powiesić, a mimo tego żyję sobie tak wesoło jak tylko można. Szczerze mówiąc, polubiłem was serdecznie i ucieszyłbym się niezmiernie, gdybyście mogli się ożenić z waszą ukochaną. Proponuję, żebyśmy za służbę podziękowali i poszli do Bathurst zobaczyć, czy nie nastały tam lepsze czasy dla takich jak my ludzi. Temi kilkoma funtami sterlingów jakie mam, chętnie się z wami podzielę.

— Dziękuję ci Bob.

— No, skończyliśmy już z jedzeniem, zapalimy teraz fajeczki, a wy zagracie na harmonice coś wesołego dla rozpędzenia czarnych myśli.

Hutkeeper skinąwszy głową przyniósł instrument muzyczny.

Po zapaleniu fajek wkrótce przez otwarte drzwi, a właściwie otwór czasami zasłaniany matą trzcinową, w daleką pustynię pobiegły wesołe dźwięki walca. Po nim nastąpiła jeszcze weselsza polka. Nagle w pobliżu, jakby pod wpływem największego zachwytu, rozległo się zwykłe w Australji leśne nawoływanie: kui! kui! i wkrótce potem czarna fantastyczna postać, słabo oświetlona latarnią szałasu, skakała przed jego drzwiami.

— Halloh, — zawołał Bob zrywając się z ławy — jakiegoż to czarnego gościa licho nam tu przyniosło? założyłbym się, że to jest ten nicpoń Bullijong!

— Ges, Bullijong — odezwał się głos z ciemności.

— Kiedyś tu przyszedł, to wejdź do szałasu nadobny młodzieńcze, oddawna już u nas niewidziany.

Ostrożnie się naokoło rozglądając wszedł dziki do wnętrza szałasu dając możność Wilhelmowi, widzącemu go po raz pierwszy, do przypatrzenia się wysmukłej postaci i chytrej twarzy młodego krajowca, którego powierzchowność nosiła ślady cywilizacyi, a mianowicie podartą, górniczą koszulę i parę starych spodni porzuconych przez jakiegoś gambusina.

Około głowy, nakształt turbanu miał obwiązaną piękną żółtą, indyjską fularową chustkę, a na niej z trudnością wtłoczonym był z szerokiemi skrzydłami słomiany kapelusz Panama. W ręku trzymał Waddie, krótką maczugę straszną broń dzikich tuziemców.

— Czarny ty potworze chcesz się napić słodkiej herbaty i zjeść przytem parę damper'ów — rzekł gościnny Bob — no, chodź tu i zachowaj się przyzwoicie.

Bullijong zrobiwszy kilka ukłonów przyjął blaszany kubek z herbatą, podany mu bardzo chętnie.

Podczas tego, gdy przybysz zajęty był opróżnianiem kubka, co sprawiało mu widocznie ogromną radość, opowiadał Bob, że ten dziki jest dawnym jego znajomym i czasami zaszczyca go swemi odwiedzinami, oraz, że znanym jest w obozie poszukiwaczy złota i używanym często do rozmaitych usług. Czy pokolenie jego odepchnęło go, czy też on sam je porzucił, niewiadomo — dosyć, że zawsze sam jeden tylko się ukazywał.

Gdy Bullijong zjadł i wypił, odetchnął głęboko z zadowoleniem i wskazał palcem na harmonijkę, jakby prosząc Wilhelma o jedną jeszcze polkę.

— Zdaje mi się, że to jest jakiś wielki lubownik muzyki — rzekł Wilhelm śmiejąc się i zabierając się do rozpoczęcia na nowo swego koncertu.

— Poczekajcieno chwilę Mate! — zawołał Bob — pierwej chciałbym czegoś się od niego dowiedzieć. Zkąd przychodzisz Bullijong?

Dziki wskazał na północ.

— Gdzieżeś ty ukradł tę żółtą chustkę i kapelusz?

— Nie kradzione. Znalezione przy trupie w lesie. — Przy tych słowach Bullijong wyciągnął z kieszeni gruby srebrny zegarek z łańcuszkiem i kluczykiem.

— To także znalazłeś? — zapytał owczarz biorąc zegarek — przy trupie gambusina?

Dziki skłonił głową potwierdzająco.

— Może sprzedasz to dziwo, Bullijong? Posłuchaj tylko.

Bob nakręcił zegarek i zadziwiony dziki słuchał nieznanego mu odgłosu jaki wydawał pierwszy raz w życiu widziany przedmiot.

— Uf! — zawołał podnosząc do góry prawą rękę z szeroko rozwartemi palcami — tytoniu, cukru, damper'ów.

— Znasz się na handlu, mój drogi, jak widzę, — rzekł Adams — dam ci pięć pakietów tytoniu, pięć kawałków cukru i pięć damperów, które ci Billy zaraz przyniesie. A teraz zegarek już mój. Prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

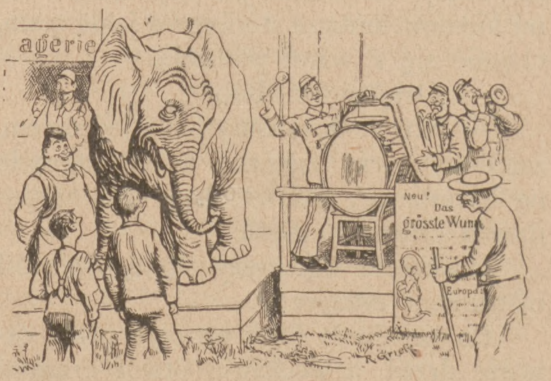
Canovas del Castillo, hiszpański prezydent ministrów. W Niedzielę 4-go bm. padł ofiarą skrytobójczego zamachu prezes ministrów w Hiszpanii, Canovas. W miejscowości kąpielowej Santa Agueda siedział minister na ławce, czytając gazetę, gdy podszedł do niego zabójca i strzelił trzy razy z rewolweru i ranił go śmiertelnie. Znajdujący się w pobliżu ludzie pochwycili mordercę. Ministra zaś odniesiono do domu, gdzie otrzymał jeszcze ostatnie namaszczenie i w godzinę umarł na rękach swej żony.

Canovas urodził się 28-go Lutego 1828 r. w Maladze i od roku 1854 zajmował się polityką. Już w 36 roku życia swego został ministrem spraw wewnętrznych. Od roku 1870 był pięć razy prezesem ministrów, ostatni raz objął rządy w roku 1895 i prowadził je do śmierci. Był bardzo przywiązany do królewskiej rodziny.

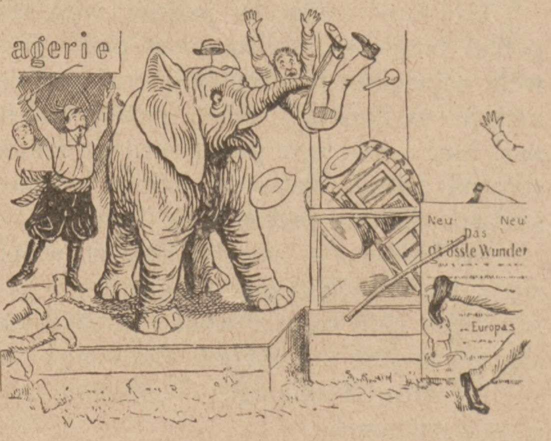
Zwłoki Canovasa przywieziono do Madrytu. Canovas w testamencie zapisał narodowej bibliotece swą z 30,000 tomów złożoną bibliotekę, wśród której znajduje się dużo osobliwości i unikatów. Rząd postanowił wdowie po Canovasie przyznać tytuł książęcy i pensyę w kwocie 30,000 pesetas.

Zabójca który zamordował Canovasa jest anarchistą i nazywa się Michele Angiolitto. Ma lat 36, urodził się w Foggia (w Apulii, — we Włoszech) — i tam uczęszczał do gimnazyum realnego. Podczas służby wojskowej był kilkakrotnie karany i ostatecznie oddany na 3 lata do kompanii karnych. Po powrocie do Foggia zajmował się drukarstwem. W roku 1895 za rozpowszechnianie podburzających pism został skazany na 18 miesięcy i 5 dni aresztu, oraz karę pieniężną w sumie 100 lirów. Rodzina Angiolitta zamieszkuje w Foggia. Ojciec jego, Giacomo Angiolitto, poważny rzemieślnik, krawiec, jest niepocieszony z powodu zbrodniczego czynu syna. Władze włoskie odbyły w domu Angiolittów i kilku robotników w Foggia rewizyę, przyczem zabrano wiele pism. Morderca Angiolitto został wydany sądowi wojennemu. W sądzie tym zasiędzie 6 oficerów pod przewodnictwem pułkownika. Wyrok na mordercy zaraz po zatwierdzeniu przez ministra wojny wykonany zostanie w Santa Agueda, w miejscu gdzie popełniona została zbrodnia.

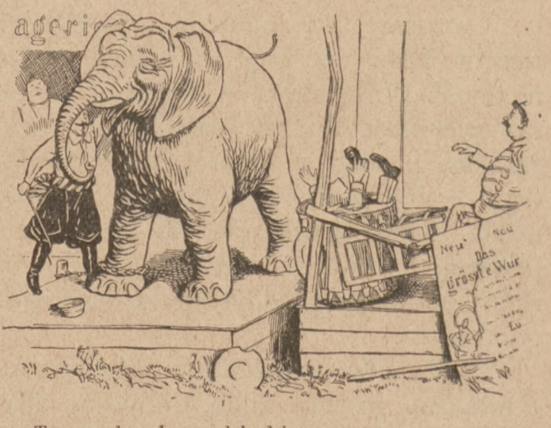
Muzykalny słoń.



Do miasteczka przyjechała menażerya. Pomiędzy innemi zwierzętami ma się słoń popisywać tańcem.



Słoń nie jest jednak dziś do tańca usposobiony i muzyka mu się nie podoba. Schwycił więc trąbą bębnistę i wsadził w bęben.



Teraz zadowolony odchodzi.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

›
ŚWIATŁO
Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 26-go Sierpnia 1897. Nr. 34.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Najazd sąsiedzki.

Pan Mateusz Przewolski, dziedzic Przewołek z przyległościami, żył już sześćdziesiąt kilka lat w stanie kawalerskim, a prawie tyleż w skąpstwie.

Dar ten rozbudził się w nim z chwilą, w której po raz pierwszy dowiedział się od nieboszczki matki, że »dwa« jest więcej niż »jeden.« Pojął to odrazu, bo miał wrodzone zdolności do arymetyki i cztery działania wykonywał z jednakową, zadziwiającą biegłością, lubo nie wszystkie. Cieszyło go zawsze, gdy dodawał lub mnożył; odejmowania znieść nie mógł, a miał wstręt do dzielenia.

Raz jeden jedyny w życiu przyszła mu ochota ożenić się.

Ale obliczywszy sumiennie przypuszczalny posag domniemanej żony i przypuszczalne od niego procenta, a z drugiej strony obrachowawszy koszt nowego powozu, fraka do ślubu, wydatki na żonę, wychowanie przypuszczalnych dzieci, i różne inne ujemne strony małżeńskiego życia, odżegnał tę myśl od siebie i postanowił umrzeć kawalerem.

Ekonom pana Mateusza, pan Barnaba Hajdukiewicz, i stary sługa Michał, wyćwiczeni przez dziedzica od lat wielu w cnocie oszczędności, naśladowali go jak mogli. Wprawdzie pan Mateusz nazywał go »synem marnotrawnym« — bo ekonom zażywał tabakę, ale pan Mateusz nie wiedział, że ten zbytek nic nie kosztował pana Hajdukiewicza. Tabaka owa była haraczem od Moszka arendarza, za to, iż pan Barnaba patrzał przez szpary, gdy parobcy i dziewki dworskie chodzili w Niedzielę do karczmy.

Pan Mateusz lubił jeździć do sąsiadów, ale do niego rzadko kiedy gość zawitał — i to na krótko. Wiedziano bowiem, że oprócz szklanki wody, niczego zgoła nie da gościowi gospodarz. Pan Mateusz dla oszczędności jadał razem z ekonomem i lokajem — a zawsze jedno i to samo przez dzień cały. Rano np. barszcz z kartoflami bez okrasy, na obiad tenże barszcz i kartofle odegrzane, wieczorem znowu to samo, odegrzane powtórnie. Nazajutrz zamiast barszczu był kapuśniak, zamiast kartofli groch; na trzeci dzień grochówka i kasza jęczmienna z dwuletnią słoniną — i tak dalej. Mięso zjawiało się tylko w Niedzielę, chleb pieczono raz na miesiąc. Gdy gość przyjechał w porze obiadowej, pan Mateusz mrugał na Michała, ten biegł do kuchni i wstrzymywał odgrzewanie barszczu i kartofli, dopóki sąsiad nie odjechał. Pan Barnaba wtedy musiał do wieczora pilnować żeńców o głodzie, a spluwając, mówił do siebie:

— Dobre panisko, ale istny Arfagon.

Miało to być: Harpagon.

A gdy wieczorem ekonom użalał się delikatnie swemu panu, że mu z głodu tak »wrzeszczało« w żołądku, jakby regiment djabłów jeździł karetą, pan Mateusz śmiał się do rozpuku i mówił:

— Ale za to lepiej smakuje, prawda, Barnasiu?

Tak upływał w błogim spokoju rok za rokiem, gdy nagle, jak grom z jasnego nieba, spadł na pana Mateusza cios, którego wspomnienie gnębiło go do końca życia.

O miedzę od Przewołek mieszkał pan Eustachy. Znali się z panem Mateuszem od dziecka, ale z biegiem czasu stosunki ich tak się ukształtowały, że pan Mateusz jeździł do Gradkowiec parę razy na miesiąc, a pan Eustachy do Przewołek raz na dwa lata. Pan Eustachy nieraz przemyśliwał nad tem, jakiegoby figla spłatać sąsiadowi za jego skąp-

stwo, i nareszcie znalazł do tego sposobność.

Dnia 20-go Września, w dzień św. Eustachego, całe obywatelstwo okoliczne zjechało się do dziedzica Gradkowiec. Wśród ochoczej zabawy, gdy po raz dwudziesty wzniesiono kielichy za zdrowie solenizanta, pan Eustachy rzekł od niechcenia:

— A czy wiecie, że jutro św. Mateusza?

— Wiemy, wiemy.... dla czegoż o to pytasz?

— Jutro więc imieniny Przewolskiego.

— Hahaha! zaśmiali się podochoceni goście.

— Możeby go odwiedzić? — odezwał się jeden.

— Właśnie chciałem wam zaproponować — podchwycił pan Eustachy.

— Dajże pokój, stary kutwa gotów nas wyszczuć psami.

— No, do tego nie przyjdzie. Jak się do tego weźmiemy, musi nam wyprawić imieniny.

Nazajutrz w samo południe pan Mateusz wrócił właśnie od siewaczy i stał przed gankiem rozmawiając z ekonomem i Michałem, gdy nagle rzuciwszy mimowolnie okiem w stronę gościńca, spostrzegł długi sznur powozów i bryczek jadących tęgim kłusem.

— Patrzajno, Barnasiu, a to co za kawalkada?

Ekonom przysłonił ręką oczy od słońca i rzekł:

— A to pewnikiem będą goście od pana Eustachego. Były tam wczoraj jemieniny, Moszko mówił, co bawili się bez całom noc, a wypili ponoś trzydzieści butelek maślaczu.

— Rozrzutniki.... marnotrawcy.... — mruczał pan Mateusz.

— Jaśnie panie — wtrącił nagle Michał — o toć rychtyk kareta skręca z gościńca w aleję.

— O!.... i powóz.... i bryczki — dodał Barnaba.

— Chryste Panie! — krzyknął pan Mateusz palnąwszy się kościstą dłonią w czoło — toż dziś moje imieniny!.... Barnasiu, zmykaj!.... Michał, do domu!

I jednym susem skoczyli do sieni. Pan Barnaba zaczął biedz przez dziedziniec, ale czując, że nie zdąży wpaść dosyć rychło do izby czeladnej, rzucił dokoła rozpaczliwym wzrokiem.... stangreci zaczynali już trzaskać z bata.... turkot się zbliżał.... wtem ekonom spostrzegł stare koryta przy studni, pobiegł co tchu, padł jak długi na ziemię i przykrył się korytem.

Dostrzegł ten manewr wjeżdżający właśnie w dziedziniec pan Eustachy. Nic jednak nie mówiąc towarzyszom, wysiadł z karety i zaczął dobijać się do drzwi. Powozy i bryczki tymczasem zajeżdżały kolejno przed ganek.

— A widzisz — odezwało się całe grono — daremna fatyga. Stary zwąchał pismo nosem i drapnął z domu.

— Ha, stało się — odparł pan Eustachy. Wrócicie do mnie, niechno konie tylko trochę wytchną. Ale co robić tymczasem?

— Chodźmy w pole.

— Dajże pokój.... skwar, kurzawa....

— Ot, strzelajmy do celu — rzekł pan Eustachy. Wziąłem z sobą nowiutką lankastrówkę, bo to w drodze czasem się zdarzy co zastrzelić. Możemy ją wypróbować.

— Brawo, dobra myśl!

Pan Eustachy włożył ładunki i niby przypadkiem zobaczywszy przewrócone koryto, rzekł:

— Ot, strzelajmy do tego koryta. Panie Józefie, przyczep no tam kawałek papieru i zarazem odmierz kroki.

Pan Józef spełnił żądanie i wróciwszy miarowym krokiem do ganka, zawołał:

— Sześćdziesiąt pięć kroków.

— Dobrze, a teraz komenderuj.

— Pan Józef nabrał powietrza w płuca i zaczął liczyć głośno:

— Raz.... — dwa....

— Gwałtu rety! — wrzasnął Barnaba z pod koryta.

— Co to? ktoś tam jest! — zawołali goście.

Koryto podniosło się, a z pod niego wygramolił się Barnaba, cały umazany błotem.

— A!!! pan Hajdukiewicz.

— Cóżeś pan tam robił pod korytem? — zagadnął, śmiejąc się pan Eustachy.

— At, nic, jaśnie panie.... ino się zdrzemnąłem na południe.

— Pod korytem?

— A bo te szelmy muchy tak jedzom człowieka, żem się tu skrył w chłodku....

— A za to błota z kurty i zębami nie wygryziesz.... jest pan w domu?

— Wyjechał jeszcze wczoraj.

— A kiedy wróci?

— Pan Bóg jego święty wie! Zostawił mi dyspozycyą na cały tydzień.

— No, to otwórz nam pokoje i daj po szklance wody.

— A kiedy i Michał pojechał z panem i wzion klucze z sobą.

— Baj, baju, będziesz w raju! Przecież widziałem go tutaj.

Złapany na kłamstwie ekonom, poskrobał się w głowę i nie odpowiedziawszy, walnął pięścią w drzwi.

— Michał! Michał! a otwórzcie ino....

Po długiej chwili milczenia odezwał się głos z wnętrza:

— Jaśnie pana niema w domu.

— To nic, otwórz tylko, — zawołał pan Eustachy.

— Jaśnie pan nie pozwolił.

— Panowie wedle wody.... — wtrącił ekonom.

Znowu nastała chwila milczenia. Nareszcie drzwi się odemknęły i w progu stanął Michał z zafrasowaną miną.

— Niech jaśnie panowie poczekają, ja zaraz polecę z dzbankiem i przyniosę świeżutkiej wody.

— Zaczekamy, tylko otwórz pokoje.

— Jaśnie pan nie pozwolił....

— Bredzisz, stary! Cóż to, czy myślisz, żeśmy tu przyjechali na rabunek? Prędko, dawaj klucze!

Na takie dictum, surowym głosem wypowiedziane, Michał stracił rezon i szepcząc z cicha: »Kto się w opiekę« — wyjął klucze z kieszeni i otworzył drzwi od pokoju. Podczas tej operacyi słychać było za drzwiami szmer jakiś, który nagle ucichł.

(Dokończenie nastąpi.)

DROGA OPERACYA.

W Paryżu wychodzi dzieło pod tytułem »La vie privée d'autrefois« (Życie prywatne lat dawnych), w tomie 13 tego wydawnictwa, autor p. A. Frankin, opisuje ciekawą ze względu kulturalno historycznego, operacyą dokonaną na Ludwiku XIV.

Na początku roku 1686 rozeszła się w Wersalu, ku wielkiemu przerażeniu dworzan, wieść, że król cierpi na złośliwą fistułę.

Myśl oswobodzenia monarchy od cierpienia za pomocą operacyi, uznanej przez lekarzy jako jedyny środek zbawienny, wydała się wszakże otoczeniu i doradzcom Ludwika XIV tak potworną, że najpierw próbowano innego sposobu.

Cały świat śpieszył z radami, a każdy zapewniał, że zalecona przez niego metoda lecznicza jest nieomylną. Ponieważ jedni zalecali kąpiele w Barage, a drudzy w Bourbon, jako najpewniejszy środek na fistuły, przeto do każdej z tych miejscowoćci wysłano na koszt króla, pod nadzorem jednego z nadwornych chirurgów, po cztery osoby, tem samem cierpieniem dotknięte. Kąpiele nie odniosły żadnego skutku; minister wojny, Louvois, kazał tedy w swojem mieszkaniu urzędowem urządzić kilka pokojów dla osób cierpiących na fistuły i wypróbować na tych pacyentach inne zalecane środki lecznicze. Rezultat był ten sam co i przy kąpielach. Król zdecydował się zatem na operacyę, a to pełne odpowiedzialności zadanie przypadło w udziale pierwszemu chirurgowi, doktorowi Felix, który słynął z wielkiej w tym kierunku wprawy i zręczności. Wszelkie przygotowania do operacyi trzymane były w tajemnicy przed rodziną królewską. W dniu oznaczonym osoby, które miały być obecne przy operacyi, a między niemi Louvois, spowiednik ojciec La Chaise, i pani de Maintenon, weszły o bardzo wczesnej godzinie różnemi drzwiami, tak, by nie zwrócić uwagi, do zamku królewskiego.

Zanim pierwszy chirurg przystąpił do czynu, Ludwik XIV, który ani na chwilę nie stracił zwykłej zimnej krwi, kazał sobie objaśnić użytek wszystkich narzędzi. Następnie poddał się odważnie operacyi, która też miała przebieg nader pomyślny. Król niebawem wyzdrowiał, a fistuła stała się modną chorobą.

Ludzie, dotknięci tem cierpieniem, byli z niego dumni i skwapliwie poddawali się operacyi, albowiem wszechwładny monarcha kazał sobie zdawać szczegółowy raport o każdym takim wypadku. Szczęśliwcy ci byli przedmiotem zazdrości, a znalazła się niemała liczba dworzan, którzy w uniesieniu lojalności chcieli się dać operować, bynajmniej fistuły nie mając. Rok ów nazwany został »rokiem fistuły«.

Najgodniejszem zaznaczenia przy tej operacyi, dokonanej na Ludwiku XIV, wydają nam się wszakże wysokie sumy, jakiemi opłacił usługi swoich lekarzy. Pierwszy lekarz przyboczny, który grał tylko rolę widza przy operacyi, otrzymał 100,000 fr., drugi 80,000; czterej obecni aptekarze po 12,000 fr.; Felix sam zaś, który operacyę wykonał, otrzymał 300,000 fr. i rozległe dobra ziemskie, a drugi chirurg 40,000 fr. Ogółem ta operacya »króla słońca« kosztowała skarb Francyi najmniej milion fr. na dzisiejsze pieniądze, i dlatego może być uznaną za najdroższą, jaka kiedykolwiek została wykonana.

Praktyczne rady.

— **Płyny do wywabiania plam.** Zgodnie kilka pism zagranicznych zaleca go bardzo, więc trzeba go spróbować. Miesza się 30 części na wagę mydła marsylijskiego (Sapo olcaceus) z 30 części gliceryny, 7 części mocnego amoniaku, 30 części eteru i 500 części wody i wstrząsa kilkakrotnie, aby się wszystko dobrze wymieszało, połączyło. Płyn otrzymany służy już wprost do wywabiania plam. Użycie jego następujące: pod miejsce zaplamione, które oczyścić pragniemy, podkłada się kawałek płótna i za pomocą gąbki plamę dobrze zwilża płynem; po kilku sekundach uważnego rozcierania miejsce zaplamione trzeba obmyć wodą. Innego rodzaju mieszanina, również do tego celu służąca, przyrządza się, jak następuje: 125 części mydła marsylijskiego rozpuszcza się w 3.600 części wody i otrzymany roztwór miesza się z 125 części amonii ciekłej (Ammonium causticum solutum), 60 części mocnego spirytusu, 30 części glicery i 60 cz. eteru. Stósować jak powyżej.

Można także użyć następującego roztworu: 60 części mydła, 500 części wody wrzącej, 30 części potażu, 30 części boraksu i 60 części amonii ciekłej (Ammonium causticum solutum).

Wreszcie najtaniej kosztuje mieszanina: 100 części mydła płynnego, 20 części potażu, 175 części amonii ciekłej i około 4,500 części wody.

Rozmaitości.

* **Wyprawa Andrée'go.** Z Berlina donoszą, że tamtejsi geografowie nie chcą się zgodzić z przypuszczeniem, jakoby Andree, choćby nawet zdołał pokonać wszelkie trudności przeprawy napowietrznej, mógł zostać zabity przez mieszkańców Syberyi północnej. Uczeni twierdzą, że owi mieszkańcy od roku już uwiadomieni są o projektowanej wyprawie balonem i oczekują z upragnieniem przybycia Andree'go, gotowi oddać mu wszelkie usługi. Rosyjski podróżnik p. Nosiłow, który odbywał podróż o 1,600 mil w głąb półwyspu Jamal, zdziwiony był zainteresowaniem Samojedów losami Andree'go. Wiedzieli wszelkie o nim szczegóły. P. Nosiłow przekonany jest, że Andree spotka się z największą gościnnością, nietylko na półwyspie Jamal, lecz i w całej Syberyi północnej.

Najnowszy numer wychodzącego w Paryżu czasopisma »Aerophile« podaje artykuł, w którym p. de Fouvielle wyraża nadzieję, że Andree nie zginął. Ponieważ wiatr przez kilka pierwszych dni po wyruszeniu balonu, nie zmieniał kierunku, zatem mógł unieść balon na znaczną odległość i zbliżyć go do bieguna. Przeszkodą w dalszej podróży mogło być zaczepienie się liny przewodniej o lodowce. Andree zdecydowany był ukończyć wyprawę pieszo, tak jak Nansen i to go zmusi do spędzenia zimy w jakiej nieznanej strefie arktycznej. Należy zatem czekać cierpliwie i przyzwyczaić się do myśli, że wieści mogą nadejść dopiero na wiosnę roku przyszłego. W rzędzie powodów, które napełniają go otuchą, p. de Fouvielle przytacza, iż balon jest zaopatrzony w olbrzymie liny — przewodniki, które nie dają mu wznieść się zbyt wysoko i w ten sposób utracić niepotrzebnie dużo gazu. Aby jednak te liny nie przeszkadzały w posuwaniu się balonu, umaczane zostały w waselinie.

* **Studenci polscy w Kanadzie.** W mieście Berlinie, w prowincyi Ontario w Kanadzie, znajduje się wyższe kolegium katolickie utrzymywane przez Zmartwychwstańców, w którem kształciło się w ubiegłym roku szkolnym 30 Polaków. Wykład nauk odbywa się przeważnie w języku angielskim, ale uczą również w kolegium języka polskiego, jak widać ze sprawozdania, z którego dowiadujemy się, że 3 uczniów otrzymało nagrody za wyborną znajomość gramatyki polskiej, a 2 zaszczytne wzmianki. Wogóle prawie wszyscy studenci Polacy zostali odznaczeni za postęp w naukach. Dodać trzeba, że w ciągu roku szkolnego studenci Polacy tworzyli »Towarzystwo literackie« w celu ćwiczenia się w języku polskim i utrzymywania ducha patryotycznego z pomocą urządzania obchodów narodowych i przedstawień teatralnych. Urządzony przez Towarzystwo obchód rocznicy 3 Maja wypadł jak zapewnia »Dziennik chicagowski«, wspaniale. Sprawozdanie nie wspomina, skąd kolegium rekrutuje uczniów. Zdaje się, że przeważnie pochodzą oni nie z Kanady, lecz z sąsiednich kolonii polskich w Stanach Zjednoczonych.

* **Sępy w Indyach** stanowią służbę sanitarną. W wielu miejscowościach Indyi są budowle, znane dobrze stadom sępów »wieże milczenia,« gdzie składają trupy ludzkie. W prezydenturze bombajskiej »wieża milczenia« Kappis Khaoo pomieścić może 237 trupów, wieża Banajee 200. W roku bieżącym gdy z powodu grasowania dżumy oraz głodu liczba trupów znacznie się powiększyła, stróże »wież milczenia« zauważyli, że i sępów przybyły nowe zastępy. Są to więc urzędnicy sanitarni, akuratnie spełniający swoje zadanie.

* **Porwana przez cyganów.** Dzienniki warszawskie donoszą: W dniu 21 Lipca z przybyłej do wsi Młodozowy pod Radomskiem bandy cyganów zbiegła dziewczynka 7 lub 8-letnia, mówiąca dobrze po polsku. Opowiada, że cyganie ukradli ją ze wsi Góry w okolicach Krakowa (Górka Kościelnicka?), że imię jej Mańka, ojca Jan, matki Teofila, brata Władysław, siostry Kasia. Dziewczyna znajduje się dotychczas pod opieką naczelnika straży ziemskiej w Noworadomsku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.